



BOSTON CELTICS LARRY BIRD

*i czasy, które
nie wróca*

DAN SHAUGHNESSY

BOSTON CELTICS LARRY BIRD

*i czasu, które
nie wróca*

DAN SHAUGHNESSY

Przełożył Amadou Guindo

ZNAK HORYZONT
KRAKÓW 2022

Tytuł oryginału
Wish It Lasted Forever
Copyright © 2021 by Dan Shaughnessy. All rights reserved

Projekt okładki
Tomasz Majewski

Fotografia na okładce
Los Angeles Lakers Vs. Boston Celtics At Boston Garden
John Tlumacki/The Boston Globe via Getty Images

Opieka redakcyjna
Bartłomiej Nawrocki

Opieka promocyjna
Karolina Domańska

Adiustacja
Krzysztof Wójcikiewicz

Korekta
Joanna Kłos

Opracowanie typograficzne i łamanie
Dariusz Ziach

© Copyright for the translation by SIW Znak sp. z o.o., 2022
Copyright © for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2022

ISBN 978-83-240-7786-1

Znak Horyzont
www.znakhoryzont.pl

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. (12) 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2022. Printed in EU

WSTĘP

Są już po sześćdziesiątce, ale po tych wszystkich latach nadal pozostają ze sobą w nieustannym kontakcie: przekomarzają się, wspólnie świętują sukcesy i wspierają się w trudnych momentach. Kiedy przejdzie się przez wszystko, co przeszli ci faceci, wygrywając tak, jak wygrywali, i ciesząc się tak, jak oni się cieszyli, widać, że zielone znamię tkwi w nich głęboko. Te więzi nie znikają.

Raz na jakiś czas asystentka administracyjna Indiana Pacers Susy Fischer odbiera telefon do konsultanta drużyny Larry'ego Birda.

– Kto mówi?

Po czym słyszy od rozmówcy:

– Powiedz mu, że najlepszy zawodnik, jaki kiedykolwiek grał dla Celtics.

To znaczy, że na linii jest M.L. Carr. Asystentka Birda łapie dowcip.

– Cześć, M.L. – odpowiada Fischer.

Carr był graczem, który zapewniał Birdowi ochronę na boisku, gdy ten debiutował w NBA. Każdy, kto chciał zgrywać twardego przed Birdem, miał do czynienia z M.L. Zanim dołączył do Celtów, Carr pracował jako strażnik w więzieniu federalnym. Lubił powtarzać:

– Nie boję się. Pracowałem w pierdłu. Zapowiedziałem Maurice’owi Lucasowi i wszystkim gościom od mokrej roboty, że najpierw muszą przejść przeze mnie. Ci goście i te małe areny NBA były niczym w porównaniu z tym, co przeszedłem.

W chwili refleksji sześćdziesięcioletni Bird przyznał:

– M.L. był moim najlepszym kolegą z drużyny. Zawsze mnie wspierał.

M.L. Carr był „Froggym” – taki przydomek nadał mu Cedric Maxwell, który zauważył, że Carr, składając się do rzutu lub zbiórki, ugina nogi jak żaba. Kibice nie wiedzieli o Froggym. To była wewnętrzna sprawa – jak we wszystkich drużynach, jakie kiedykolwiek powstały. Na każdym poziomie, czy to w szkole średniej, na studiach, czy w zawodowstwie, członkowie drużyny i osoby z ich otoczenia posługują się szyfrem, który rozumieją tylko oni. Czterdzieści lat później wystarczy usłyszeć stare przezwisko lub charakterystyczny zwrot, aby przenieść się w czasie – w ten sam sposób zapach cynamonowych tostów przenosi człowieka do zagraconej kuchni mamy, gdy miał pięć lat.

W 2021 roku, gdy M.L. Carr idzie przez zatłoczoną halę i słyszy „Froggy”, wie, że w pobliżu jest jeden z jego byłych kolegów z drużyny. Jedynymi ludźmi, którzy go tak nazywają, są Bird, Maxwell, Kevin McHale, Danny Ainge i pozostali Celtowie z początku lat 80.

Dla Amerykanów żyjących NBA Maxwell to „Cornbread”, ale dla swoich kolegów z drużyny to już „Bread”. Robert Parish to „Chief” w hołdzie złożonym gigantycznemu milczącemu Indianinowi z filmu *Lot nad kukulczym gniazdem*. Wszyscy fani Celtics znali Maxwella i Parisha, ale tylko ludzie z wewnętrznego kręgu wiedzieli, że asystent trenera Chris Ford to „Doc”, Rick Robey to „Footer”, Gerald Henderson to „Sarge”, a Rick Carlisle to „Flip”. Drobny reporter z „Boston Herald Celtics”, Mike Carey, miał przydomek „Smerf”.

Ja byłem „Scoopem”*.

– Zawsze byłeś pierwszy z tymi swoimi cholernymi rewelacjami – mówi Maxwell, który w 2021 roku pracował jako analityk w audycjach radiowych Celtics. – Wiedzieliśmy, że przy tobie musimy być ostrożni.

W 1984 roku po nieistotnym meczu sezonu zasadniczego NBA, w którym weteran Quinn Buckner nie dawał sobie rady na parkiecie, napisałem na użytek czytelników „Boston Globe”, że Buckner grał „jak człowiek bez pojęcia”. Maxwellowi, kustoszowi wszystkich pseudonimów Celtics, bardzo się to spodobało. „Bucky jest bez pojęcia!”, krzyczał na treningu już następnego dnia. „Inspektor Clue-seau!”**.

– Po tych wszystkich latach Max wciąż o tym wspomina – powiedział Buckner, który obecnie jest analitykiem podczas transmisji meczów Indiany Pacers. – Czasem widzę go w stołówce dla prasy przed naszym meczem z Celtics, a on krzyczy przez całą salę: „Oto i on, inspektor Clue-seau!”.

– Powiem ci jedno – stwierdził niedawno McHale. – Kiedy widzę któregoś z nich na sali, na twarzy pojawia mi się gigantyczny uśmiech. Dziwne, ale zauważyłem to już wiele lat temu. Jeśli Bill Walton, Max, Danny, M.L., którykolwiek, jest na drugim końcu ulicy, tak właśnie reaguję. Coś się we mnie zmienia. Uśmiecham się szeroko i ogarnia mnie prawdziwe poczucie spokoju, rozluźnienia i przyjaźni. Trudno to wytłumaczyć, ale było w tym wszystkim coś wyjątkowego i zostało ze mną do dziś.

* *Scoop* to potocznie po angielsku artykuł lub temat, który dziennikarz publikuje jako pierwszy, przed wszystkimi innymi [przyp. red.].

** W oryginale zawarta jest gra słów. Shaughnessy określił Bucknera jako *man with no clue*. Stąd było już bardzo blisko do znanego z *Różowej pantery* inspektora Clouseau [przyp. red.].

Kiedy powiedziałem Waltonowi, że piszę o moich czasach w Celtics Larry'ego Birda, w latach 80., powiedział:

– Musisz napisać, jak dobrze się bawiłeś. Było nawet lepiej niż idealnie. Nie mogliśmy się doczekać codziennych treningów. Ani kiedy dotrzemy na lotnisko, wsiądziemy do autokaru i pojedziemy na mecz. Wyczerp słownik synonimów, gdy będziesz to pisał. Masz pozwolenie na wydrukowanie wszystkich superlatyw, jakie tylko znajdziesz. Koszykówka była wspaniała, a społeczność wokół niej niezwykła. Ludzie z mojego sąsiedztwa w Cambridge i wszyscy fani Celtics – parkingowy przed halą, ludzie w restauracjach, obsługa lotniska i ci w punktach poboru opłat w tunelach. To była radość. To było coś, o czym się marzy, i chce, żeby trwało wiecznie.



Rozdział 1
„WYCIERALIŚMY
NIMI PARKIET”

W czasach gdy byłem młodszy i wrażliwszy...* (okej, to cytuję z *Wielkiego Gatsby'ego*), poświęcałem wiele godzin na rozmyślanie o Boston Celtics. Kibice, którzy dorastali w Nowej Anglii w latach 50. i 60. XX wieku, byli wdzięczni za Reda Auerbacha, Billa Russella, Boba Cousy'ego i Celtów. NBA w tamtych czasach może i nie była potęgą globalnego przemysłu rozrywkowego, którą jest dzisiaj, ale za to Celtics byli naszym sportowym zbawieniem w morzu mocno średnich drużyn nękanych administracyjną błazenadą.

Nasi ojcowie z uznaniem wspominali Teda Williama i drużynę Red Sox naszpikowaną gwiazdami, które dopiero wróciły z II wojny światowej i prawie wygrały World Series w 1946 roku, ale to była zamierzchnia historia. Red Sox z czasów naszej młodości w erze Eisenhowera, Kennedy'ego, a później Johnsona byli rozmemłaną, w dużej mierze rasistowską papką, zarządzaną przez zgrają nienazartych, staroświeckich, żujących tytoń gości, którzy pozwalali na porażki i stanowili zamkniętą klikę tzw. śmietanki towarzyskiej. Fani z pokolenia wyżu demograficznego niewiele wiedzieli o ponurej historii drużyny. Mieliśmy jedynie świadomość, że Sox nigdy nie byli dobrzy i występowali jako chłopcy

* Fitzgerald F. Scott, *Wielki Gatsby*, tłum. Jacek Dehnel, Kraków: Wydawnictwo Znak, 2013, s. 7.

do bicia dla New York Yankees Mickeya Mantle'a i Whiteya Forda. W dawnych czasach Sox grali pod hasłem RED SOX UŻYWAJĄ MYDŁA LIFEBUOY, a naszą oczywistą ripostą było „I nadal śmierdzą”. W tamtych czasach zawsze mówiło się o smrodzie. Za „dają dupy” dostalibyśmy tygodniowy szlaban. Red Sox z początku lat 60. zajmowali co roku ósme lub dziewiąte miejsce w dziesięciozespołowej American League. Obok Kansas City Athletics i Washington Senators znajdowali się zwykle na dnie tabeli.

Red Sox z czasów mojej młodości przyciągali anemiczną widownię i nigdy nie grali skutecznie. Tylko 1247 widzów oglądało, jak praworęczny miotacz Sox Dave Morehead zaliczył no-hittera na Fenway Park w 1965 roku. W kółko słyszeliśmy, że Sox nie wygrali World Series od 1918 roku, kiedy na murawie Fenway rządził Babe Ruth. Wszyscy powtarzali to jak ponury refren.

W latach 50. i 60. w Bostonie nie było ligi NFL. Zawodową drużyną futbolową w Nowej Anglii byli New York Giants Sama Huffa i Franka Gifforda. Transmisje z meczów Giantsów, z Christem Schenkelem za mikrofonem, oglądano w bostońskich domach w każdą niedzielę. Boston Patriots, grający w nowo powstałej American Football League, narodzili się w 1960 roku, ale musiała minąć jeszcze ponad dekada, żeby zaczęto ich traktować poważnie. Patriots grali na różnych boiskach: Boston University, Fenway Park, Harvard Stadium i Boston College. Raz zagrali nawet w Birmingham w stanie Alabama – jako gospodarze. W 1963 roku udało się im awansować do meczu finałowego o mistrzostwo AFL, ale przegrali z San Diego Chargers, 51–10.

Pierwsze dwa awanse Patriotów do Super Bowl nie poprawiły wizerunku przegranej drużyny. W 1985 roku dotarli do Super Bowl XX w Nowym Orleanie, ale zostali rozgromieni przez Williama „Refrigeratora” Perry'ego i Chicago Bears 46–10. W tamtym czasie był to najgorszy łomot w historii Super Bowl. Jedenaście lat później Patriots wrócili do Super Bowl, tym razem

przegrywając z Packers 35–21. Dwudziestowieczni New England Patriots* w niczym nie przypominali dynastii Billa Belichicka i Toma Brady’ego z nowego milenium.

Drużyna hokejowa Boston Bruins z czasów mojej młodości była często gorsza od Sox i Patriots; regularnie kończyła na piątym lub szóstym miejscu National Hockey League (NHL), która składała się z sześciu zespołów. Oglądani przez wiernych kibiców hokeja z Charlestown, Southie i północnego wybrzeża Bostonu, „Szprychy” (nazywani tak z powodu podwójnie przekreślonego „B” w logo zespołu) ścigali do Boston Garden prawdziwe tłumy, ale w latach 50. i na początku lat 60. rzadko kiedy zasługiwali na owacje. W latach 50. Canadiens sześciokrotnie wyeliminowali Boston z play-offów. Przez pierwsze osiem lat szóstej dekady XX wieku Bruins nie zegrali w play-offach ani razu, co było prawie niemożliwe, biorąc pod uwagę, że do dalszych rozgrywek kwalifikowały się cztery drużyny z sześciu tworzących ligę. Najlepszym zawodnikiem w drużynie był bramkarz Eddie Johnston, który w sezonie 1963–1964 przegrał rekordową liczbę 40 meczów. Bostończycy regularnie wypełniali trybuny Garden, ponieważ kochali hokej, ale lokalna drużyna nie mogła konkurować z nikim aż do 1966 roku, kiedy z Parry Sound w Ontario zstąpił nastoletni anioł Bobby Orr (obicie domu rodzinnego Orrów aluminiową elewacją przypieczętowało transakcję). Kilka lat później Orr wprowadził Bruins do rozgrywek, a w 1970 roku dał Bostonowi pierwszy od 1941 roku Puchar Stanleya.

Matematyka jest więc dość prosta: w latach 1941–1970 Boston miał do świętowania: zero mistrzostw w baseballu, futbolu amerykańskim i hokeju.

Właśnie dlatego Celtics zajmują szczególne miejsce w sercach i umysłach mieszkańców Nowej Anglii, którzy dorastali w czasach

* Po zmianie miejsca rozgrywania spotkań w 1971 roku Boston Patriots zmienili nazwę na New England Patriots [przyp. red.].

Elvisa Presleya, Waltera Cronkite'a i festiwalu Woodstock. Podczas gdy Red Sox, Patriots i Bruins regularnie rozczarowywali, Celtics niemal co roku jako mistrzowie wręczali zielony prezent spragnionym tytułu kibicom z naszego regionu.

Celtics z czasów mojej młodości zawsze mnie zadziwiali. Podczas gdy Sox, Pats i Bruins zmagali się z problemami, Celtics dali nam przedsmak tego, jak wyglądało życie nowojorskich fanów baseballu i hokejowych krisznowców z Montrealu. Celtics z lat 50. i 60. nigdy nie zostali jednak w pełni docenieni, po części dlatego, że NBA nie była jeszcze mainstreamową ligą, a sama dyscyplina dopiero zaczynała zakorzeniać się w miastach całej Ameryki. Dzięki Larry'emu Birdowi, Magicowi Johnsonowi, Michaelowi Jordanowi i amerykańskiemu Dream Teamowi z igrzysk w 1992 roku NBA stała się w latach 90. globalną sportową atrakcją, a w kraju ustępuje dziś popularnością jedynie potężnej lidze NFL. W latach 50. i 60. NBA była pomniejszą ligą, którą rzadko kiedy pokazywano w ogólnokrajowej telewizji. W NBA rozgrywano dwa mecze jeden po drugim, a czasami, aby przyciągnąć kibiców, występowali w niej Harlem Globetrotters. Liga miała drużyny w Rochester, Syracuse, Fort Wayne i Tri-Cities w stanie Iowa. Super.

Niewielu kibicom dane jest dorastać z zawodową drużyną, która co roku zdobywa mistrzostwo. Ja miałem to szczęście. Boston Celtics zdobyli swoją pierwszą koronę NBA w 1957 roku, rok później przegrali w finałach, a następnie wygrali osiem kolejnych razy mistrzostwa – po jednym na każdy rok spędzony przez Reda Auerbacha na ławce trenerskiej.

Był to wiosenny rytuał Nowej Anglii – jak Wielkanoc, kwitnące forsycje i toporne okiennice, które burze zrywały ze ścian domów. Celtics byli mistrzami NBA, gdy w 1959 roku rozpocząłem naukę w pierwszej klasie szkoły podstawowej w Groton w stanie Massachusetts. W momencie ich abdykacji byłem już w liceum. Kto jeszcze może powiedzieć coś takiego? Wybranie

swojej ulubionej mistrzowskiej ekipy Celtów z tamtych czasów jest jak zastanawianie się nad świeżo otwartym pudełkiem czekoladek. *Hmmm. Co to będzie dzisiaj? Czy przeżyjemy pierwsze mistrzostwo z 1957 roku, kiedy Tommy Heinsohn zdobył 37 punktów i 23 zbiórki, wygrywając mecz numer siedem w podwójnej dogrywce z Hawks? A może spróbujemy tytułu z 1965 roku, gdy John Havlicek przejął piłkę w siódmym meczu finałów konferencji?*

Sukces duetu Auerbach–Russell miał uniwersalny charakter, który wykraczał poza percepcję kibiców i młodych koszykarzy z Nowej Anglii. Trenerzy amatorzy i nauczyciele wychowania fizycznego z naszego regionu mieli to szczęście, że oglądali skład, który co wieczór pokazywał, jak może wyglądać koszykówka, gdy drużyna weźmie górę nad indywidualizmem. Kształtujący się młodzi gracze zwracali uwagę na wszystko, co robili Celtowie. Russell, najlepszy zawodnik w drużynie, nigdy nie narzekał na „brak kontaktu z piłką”. Zasyłał każdą zbiórkę, wykonywał szybkie podania i pędził na drugi koniec parkietu, żeby bronić. Kiedy zablokował rzut, nie wybijał piłki do drugiego rzędu trybun, żeby zaimponować dziewczynom. Wiedział, że lepiej jest kontrolować piłkę i blokować tak, aby zaraz przejść do szybkiej kontry. Russell pokonywał przeciwników nie tylko sprawnością fizyczną, ale też inteligencją.

W wywiadzie udzielonym „Boston Globe” w latach 90. Russell wyznał mi, że jednym z jego ulubionych momentów ligowej rywalizacji było wygranie meczu sezonu zasadniczego za pomocą triku na Archiem Clarku, obrońcy Lakersów:

– Na kilka sekund przed końcem przegrywaliśmy dwoma punktami, oni mieli piłkę. Musieli tylko przedryblować do końca meczu. Wiedziałem, że Archie Clark jest strzelcem i nie oprze się szansie na zdobycie łatwych punktów. Kiedy wznowili grę, otworzyłem mu drogę pod kosz, wiedząc, że będzie chciał zapunktować. I tak się stało: sięgnął do obręczy, a ja zaszedłem go od

tyłu i zablokowałem. Odzyskałaliśmy piłkę, odrobiliśmy przewagę i wygramyśmy w dogrywce.

Gdy skończył, zarechotał charakterystycznie. Ten obrazek doskonale opisuje zarówno człowieka, jak i zespół.

Zielony ojciec chrzestny, Auerbach, co roku płacił Russellowi o jednego dolara więcej niż lepszemu fizycznie Wiltowi Chamberlainowi, deklarując tym samym, że Russell jest wart więcej niż Wilt, nawet jeśli nie zdobywa 50 punktów na mecz. Trzej zawodnicy z pierwszego składu Celtów – Russell, Satch Sanders i K.C. Jones – byli specjalistami od defensywy. Red przypominał nam, że nie jest ważne, kto zaczyna mecz, ważne, kto zostaje na parkiecie w końcówce. Mając na ławce przyszlých zawodników z Galerii Sławy – najpierw Franka Ramseya, później Johna Havlicka i Kevina McHale’a – Red wymyślił szóstego zawodnika. Statystyki Celtics były demokratyczne, regularnie pojawiało się w nich sześciu lub siedmiu graczy z dwucyfrową liczbą punktów. Bostońscy mistrzowie nigdy nie mieli króla strzelców. Stosowali w kółko sześć prostych zagrywek. Jeśli rozgrywający Celtics wołał „Zipper”, oznaczało to, że jeden z naszych snajperów będzie przechodził pod nisko postawioną zasłoną za linię rzutów osobistych, łapał podanie i rzucał fadeaway*. To, że drużyna przeciwna wiedziała, co się szykuje, nie było żadną przeszkodą. I tak nie potrafili ich powstrzymać.

Przywództwo opierało się na współpracy. Auerbach regularnie prosił o przerwę w grze i pytał swoich zawodników: „Czy ktoś coś ma?”.

– To sprawiało, że graliśmy jeszcze twardziej – wspominał Heinsohn, który był członkiem rodziny Celtics od 1956 roku do swojej śmierci w grudniu 2020 roku. – Jeśli zaprojektowałeś

* Fadeaway – tak zwany rzut z odchylenia. Zawodnik, wyskakując do rzutu, odchyła się do tyłu lub na boki. Uniemożliwia to defensorom skuteczną obronę [przyp. red.].

zagrywkę, byłeś dumny z jej autorstwa. Chciałeś, żeby twoje zagranie się udało.

Celtowie byli zdeterminowani, żądni zwycięstw, a Auerbach uczył szybkiej, nastawionej na kontry ofensywy. W czasach, gdy wiele drużyn poświęcało pierwsze mecze sezonu na powrót do formy, Celtics budowali kondycję już w okresie przedsezonowym i wygrywali listopadowe spotkania dzięki solidnemu przygotowaniu fizycznemu.

– Wycieraliśmy nimi parkiet – powiedział Cousy.

Zawodnicy nie pławili się w nieskończonym bogactwie jak w dzisiejszej NBA. Poza sezonem normalnie pracowali: Heinsohn sprzedawał ubezpieczenia, Cousy prowadził szkołę jazdy. Pula do podziału między zwycięzców play-offów miała więc znaczenie. Przed meczami posezonowymi Ramsey, który po zakończeniu kariery w NBA został prezesem banku w Kentucky, wypisywał na tablicy w szatni kwotę do zgarnięcia za wygraną i oznajmiał: „Wszyscy gracze moimi pieniędzmi!”.

Na dekadę przed wejściem w życie Ustawy o prawach obywatelskich Celtics z powodzeniem radzili sobie z kwestiami rasowymi. Nikt nie obrażał się, gdy Auerbach używał określenia *shvartzes*, które w jidysz tradycyjnie nie jest odbierane jako komplement.

– To znaczy „czarny” – powiedział Red. – To obelga w zależności od tego, kto jej użyje.

W roku 1950 Auerbach wybrał w drafcie pierwszego czarnoskórego gracza w NBA – Chucka Coopera z Duquesne. Red był również pierwszym trenerem w NBA, który wprowadził do gry pięciu czarnoskórych zawodników: Russella, Tom Sandersa, Williego Naullsa, Sama Jonesa i K.C. Jonesa w 1964 roku. Zatrudnił też pierwszego czarnoskórego szkoleniowca w amerykańskim sporcie zespołowym, kiedy w 1966 roku Russell został grającym trenerem.

W szczytowym okresie swojej mistrzowskiej historii, w latach 60. ubiegłego wieku, Boston Celtics zostali wyróżnieni za równość rasową w przemówieniu, które generalny menedżer Red Sox Dick O’Connell wygłosił podczas dorocznego śniadania bractwa w Fenway Park:

– Siedzicie tu i gadacie o braterstwie – powiedział O’Connell. – Podpowiem, że jego najlepszy przykład jest tuż obok, ulicę stąd. W Boston Garden gra drużyna składająca się z czarnych i białych, katolików i protestantów, trenowana przez Żyda. Od dłuższego czasu są mistrzami świata. Wszyscy dorabiają dzisiaj teorie, szukają wyjaśnień. Jeśli ktoś potrzebuje najlepszego przykładu tego, o czym mówimy, wystarczy spojrzeć na Celtics.

– Nasza sytuacja była w pewnym sensie związana z tym, co nazywam „syndromem okopowym” – powiedział w 2021 roku dziewięćdziesięciodwuletni Cousy. – Kiedy jesteś w okopie, a dookoła latają kule, ostatnią rzeczą, nad jaką się zastanawiasz, jest kolor skóry faceta obok ciebie, który, przy odrobinie szczęścia, uratuje ci tyłek. To najsilniejsze relacje. Zdobycie mistrzostwa było jedynym, o czym myśleliśmy i co nas obchodziło. Kiedy sędzia gwizdał, rasa i osobowość wylatywały przez okno. Nawiązywało się więc z pozostałymi czterema zawodnikami, a wszystko inne stawało się drugorzędne. Budowało to również poczucie koleżeństwa. Najgorszym miastem, jakie odwiedziliśmy, było St. Louis. Russell musiał przejść przez tłum, żeby wejść na boisko, i co chwila słyszeliśmy rasistowskie wyzwiska. Naprzeciwko hotelu, w którym się zatrzymaliśmy, znajdowała się tania restauracyjka. Kiedy chcieliśmy tam wejść po meczu, usłyszeliśmy, że czarni nie mogą tu jeść. Odpowiedzieliśmy więc: „Tego gówna nie powinien jeść żaden człowiek”, i wszyscy razem odwróciliśmy się i wyszliśmy.

Boston Garden, macierzyste boisko Celtów, było pierwszym koszykarskim pałacem rozpoznawanym przez amerykańskich kibiców. Gdy profesjonalne rozgrywki dopiero dojrzewały, stopniowo

zyskując rozgłos w mediach, Celtics byli najlepszą drużyną. Cousy, „Mr. Basketball”, był pierwszym graczem NBA, który pojawił się na okładce „Sports Illustrated”. Houdini bostońskiego parkietu został MVP, czyli najbardziej wartościowym zawodnikiem ligi w 1957 roku.

Wybudowany w 1928 roku stary Boston Garden był jedną z pierwszych wielofunkcyjnych, wielkomiejskich sportowych „stodół”, które projektowano z myślą o hokeju, koszykówce, cyrkach, koncertach i innych formach rozrywki. Boiska do koszykówki musiały być przenośne, więc w 1946 roku właściciel drużyny Walter Brown zlecił firmie z Brookline w stanie Massachusetts ułożenie podłogi, którą można było codziennie rozkładać i składać. Pierwotnie sklejo ją ze skrawków drewna dębowego z lasu w Tennessee. Dwieście sześćdziesiąt cztery panele o wymiarach pięć na pięć układano naprzemiennie, uzyskując charakterystyczny wzór dębowego parkietu, często spotykany w wielu domach w Nowej Anglii na początku XX wieku.

Oglądając czarno-białe transmisje, fani koszykówki w całej Ameryce – w tym młodzi Bill Walton i Larry Bird – nauczyli się rozpoznawać mecze rozgrywane w Bostonie właśnie dzięki charakterystycznemu wzorowi klepek podłogowych. Ukochany sportowy pałac Bostonu został zburzony w latach 90., kiedy zastąpiono go niczym niewyróżniającym się TD Garden, ale przenośny parkiet pozostał częścią tożsamości Celtics, podobnie jak gotycki fryz, który zdobił górne piętro oryginalnego Yankee Stadium. Boisko Celtów słynie z martwych punktów, w których piłka nie chce się odbijać i wracać do ręki kozłującego. Przeciwnicy twierdzą, że tylko Celtics znają tajemnicę nieregularnego odbijania się piłki od parkietu, ale to nieprawda. W trakcie sezonu podłoga jest montowana i demontowana dziesiątki razy, kiedy znana jako „Bull Gang” (czyli Gang Byków) ekipa techniczna przekształca halę z hokejowej w koszykarską. Bird twierdzi, że martwe punkty

zmieniały się z meczu na mecz, w zależności od tego, jak mocno Gang Byków przykręcił śruby do podłogi.

Kolejnym znakiem firmowym Celtics są dostojne sztandary wiszące na żelaznych krokwiach nad boiskiem, flagi poświęcone wyłącznie sezonom zakończonym mistrzostwem NBA. W Boston Garden nigdy nie wisały banery mistrzów Konferencji Wschodniej. Gdy Celtics byli u szczytu popularności w latach 80., Auerbach, który kochał rywalizację, miał pretensje do Bruins i wyśmiewał zdobywane przez hokeistów banery ADAMS DIVISION CHAMPS. Na krokwiach wymienieni są również poszczególni gracze. Począwszy od numeru 14 Cousy'ego z 1963 roku, zastrzeżonych i odesłanych na emeryturę zostało w sumie 21 numerów Celtics. To spora kolekcja, która wywołuje kpiny ze strony hejterów Celtics i rywali z NBA.

Jedną z magicznych liczb oryginalnej dynastii Celtów było 13 909, czyli frekwencja widzów na każdym wyprzedanym meczu w starym Garden. Liczba ta nigdy nie uwzględniała setek kibiców, którzy przemykali pod bramkami obrotowymi lub wchodzili, wręczając parę dolców uprzejmemu woźnemu. Inną tradycją Celtics było wymiotowanie Russella przed każdym ważnym meczem play-offów. Nie było to ani chwalebne, ani zdrowe, mimo to stanowiło rytuał, który każdy respektował.

Mistrzowie świata z Bostonu nosili zielone lub czarne trampki (zdaniem Auerbacha „tańsze i nie widać na nich brudu”) i grali w atmosferze pozbawionej tanich rozrywek. Z blaszanych głośników nie sączyła się muzyka rockowa, podczas przerw w grze Auerbach pozwalał organiście Johnowi Kileyowi grać *Stout-Hearted Men* i *Roll Out the Barrel*, ale patriarcha zabraniał sztucznego hałasu, gdy piłka była w grze. Nie było fanów celebrytów, puchatych maskotek ani cheerleaderek. Pierwsze wystrojone tancerki Celtics postawiły stopę na parkiecie dopiero w listopadzie 2006 roku, tydzień po śmierci Auerbacha.

SPIIS TREŚCI

WSTĘP / 9

Rozdział 1

„WYCIERALIŚMY NIMI PARKIET” / 13

Rozdział 2

„GDYBY PRZYJĄŁ TE PIWA, BYŁBY CI COŚ WINIEN” / 31

Rozdział 3

„CHIEF PO PROSTU TOBĄ GARDZIĘ” / 55

Rozdział 4

„OD KIEDY GRAM W KOSZYKÓWKĘ,
NIGDY NIE CZUŁEM SIĘ GORZEJ” / 89

Rozdział 5

„ZWRÓCIŁEŚ KIEDYŚ UWAGĘ, ŻE GDY WCHODZISZ
DO SZATNI, ZAPADA CISZA?” / 103

Rozdział 6

„GRALIŚMY JAK MIĘCZAKI” / 129

Rozdział 7

„ŻADNYCH WJAZDÓW POD KOSZ” / 151

Rozdział 8
„WYMIENILI MNIE NA TRUPA” / 171

Rozdział 9
„TEN GOŚĆ BĘDZIE NAJLEPSZYM ZAWODNIKIEM
WSZECH CZASÓW” / 195

Rozdział 10
„LUBIĘ TEGO TRENERA” / 227

Rozdział 11
„NAJWYRAŹNIEJ TRAFIŁEM
DO WŁAŚCIWEJ DRUŻYNY” / 249

Rozdział 12
„DO KOŃCA SEZONU NIE PIJĘ” / 263

Rozdział 13
„PRAWDZIWE ROZCZAROWANIE PRZYSZŁO,
KIEDY WSZYSTKO SIĘ SKOŃCZYŁO” / 287

Rozdział 14
„KOLEGA Z DRUŻYNY POTRZEBUJE KOGOŚ,
KTO GO PRZYTULI” / 299

PODZIĘKOWANIA / 307

ŹRÓDŁA / 311

PRZED LEBRONEM JAMESEM, PRZED LAKERSAMI KOBIEGO I SHAQA, PRZED CHICAGO BULLS JORDANA BYLI JESZCZE ONI: BOSTON CELTICS. I LARRY BIRD.

Zawodnicy dorabiający między sezonami, hale gęste od papierosowego dymu i liga zagrożona bankructwem. NBA lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w niczym nie przypominała marki, którą dziś zachwycają się miliony fanów na całym świecie. Kiedy więc Dan Shaughnessy dołączył do redakcji sportowej „Boston Globe”, nie przypuszczał, że będzie świadkiem rewolucji.

Sezon 1978–79 zakończył się dla Boston Celtics koszmarne. Wyjątkowo niska lokata w lidze zatarła wspomnienie o złotej erze Billa Russella i ośmiu wygranych finałach NBA z rzędu. Ale to właśnie wtedy do drużyny dołączył Larry Bird. Dwa lata później w Bostonie świętowano kolejne mistrzostwo.

Tak rozpoczął się powrót legendarnych Celtów. Prowadzona przez Larry’ego Birda, Kevina McHale’a i Roberta Parisha ekipa trzykrotnie sięgała po mistrzostwo. Widowiskowa gra przyciągała na mecze tłumy fanów, a setki tysięcy widzów z zapartym tchem oglądały pojedynki Larry’ego z Magikiem Johnsonem.

Dan Shaughnessy znalazł się w oku zielonego huraganu. Jako dziennikarz jeździł tym samym autobusem co zawodnicy, spał w tych samych hotelach, siedział z nimi przy stole i pił piwo za piwem. Z bliska obserwował nie tylko dojrzewającą sportową potęgę, ale też ludzi, rodzące się przyjaźnie i braterską rywalizację.

To jego wspomnienia z czasów, które już nie wrócą.

